

I/571

RELACJA

p. Juliana Nowogródzkiego

nagrana 18.10.91 w Częstochowie-Romanowie przez Tomasza Gleba
wersja zredagowana

© ARCHIWUM WSKRONIĘ

Aresztowany zostałem 28 stycznia 1945 roku. Siedziałem w takim niedużym miasteczku Raduń, a później z Radunia przewieziony zostałem do Lidy i tam 20 maja 1945 roku - pamiętam, to była niedziela - zostałem osadzony przez Wojenny Trybunał. Mnie krótko sądzili, bo byłem sam, nie miałem żadnych "wspólników". Dostałem 10 lat.

Pomieszczenia sądowe były też w tym samym więzieniu, tylko w innym budynku. Kobieta przyszła i zabrała mnie z ogólnej celi - byłem w celi nr 42 - kazała zabrać rzeczy, bo po sprawie do poprzedniej celi się nie wraca.

Przyprawdzili mnie pod celę, to była 12 celi, pojedynka. Tam siedzieli dwóch braci, nazywali się Hurczynowie: Michał i Romek zdaje się. Oni byli z miejscowości Krupowo, niedaleko Lidy. Byli obydwaj sądzeni na karę śmierci, ale w sobotę wieczorem karę śmierci im zniesli, dostali po 10 lat. I kiedy mnie osadzili, to mnie do tej pojedynki do nich dorzucili. W końcu nas było tam dwunastu w tej celi.

Jak w Lidzie siedziałem w ogólnej celi, to wiedzieliśmy, że ten, ten i ten dostał karę śmierci. Sądzeni na karę śmierci siedzieli w pojedynkach, za wyjątkiem tych Hurczynów, którzy siedzieli razem. Siedział Felus Lemontowicz, 40 dni tam siedział...

I później wiedzieliśmy, którego rozstrzelali. Dlatego, że w celi był taki starszy pan - nie siedział politycznie, nie wiem, za co siedział - i jego zabierali do piwnicy pod więzieniem do pracy. On robił z pudełek po konserwie miseczki dla więźniów. I on w piwnicy znajdował ubrania. Bo dni w Lidzie wykonywali wyroki w ten sposób, że przychodzili w nocy, zabierali; było mówione, że dany więzień idzie do łazni. Rozbierał się, ubranie zostawiał, nago wchodził - tam była taka duża cebra i ze 20 przyszniców - z pistoletu zabił go, krew woda sputkneła, a trupa zabierali i gdzieś chowali. A ubranie właśnie przywozili i chowali w piwnicach pod więzieniem. I myśmy wiedzieli, kogo rozstrzelali, dlatego, że przychodził ten pan i mówił: takie ubranie leży, takie, takie...

Wiedzieliśmy, kogo rozstrzelali, a komu tę karę zdjęli. Bo wielu zdejmowali - po 40 dniach, po 50 dniach. Niektórzy pisali *pamiętowanie*, inni nie pisali - przykładowo ten Felek, on mówił, że nie pisał. Ale po 40 dniach przyszli, że najwyższy *soviet* ulaskawił go i dał mu 20 czy 15 lat...

W końcu maja - datami nie mogę operować - transport. Zawiezli do Orszy na punkt przesylny. Tam byliśmy chyba 2 tygodnie. Potem posortowali nas - młodszych i zdrowych do jednej grupy, starszych i schorowanych do drugiej. Ja trafiłem do grupy pierwszej. Zapakowali nas w wagony i przez Moskwę do Archanzielska. Z wagonów wypędzili - ta mnie było takiego suchego portu, wszędzie bagna, deski położone i pędzą nas do okrętu. Okręt bardzo duży, nazywał się Dikson. Do jednego pomieszczenia wpełchnęli nas 5 tysięcy ludzi.

- Dużo Polaków było w tym transporcie?

Jak pamiętam, to dużo nie było. Ja byłem, Okunowicz Jan,

Łapniewski, Ikonowicz, Milenkiewicz, Siemsa - nie pamiętam, czy on jechał tym transportem, czy innym - w każdym razie nie było za dużo Polaków.

Przywieźli, okręt do rzeki nie mogli wejść - miasto Dudzinka, ono leży nie nad morzem, a nad Jenisiejem i te wielkie okręty nie mogą wejść, bo mają za głębokie zanurzenie. Podstawili drewniane barki, przeladowali nas i przyholowali do portu.

Tam przechodziliśmy kwarantannę. W Orszy to jeszcze był spokój, w wagonach już się zaczęło, ale już na okręcie... Tam zbieranina - złodzieje, bandyci - jak zobaczyli, że ktoś ma złotą koronkę, zaraz wyrywali... Lepsze ubranie, buty, marynarkę...

- Czy nie rozstrzelano tam kilkunastu białych, za to że robowali?

Nie, nie. Może kiedyś, ale jak ja byłem, to nie. Nie ma wody. Tamtej wody pan nie napije się - miała kolor jak serwatka, aż gęsta od soli, próbowaliśmy wziąć do ust, ale się nie da.

Z baraku przechodziło się przez przejście w ogrodzeniu do drugiego baraku i w tym przejściu dawali pajdkę chleba i puszkę po konserwie zupy. i niektórzy robili, m.in. ja też tak robiłem parę razy - człowiek w biegu połknął ten chleb i leciało się w drugi koniec baraku, a tam dziura była. Przelatywało się przez tą dziurę, jak nie złapali - bo tam było podobawiane, z kijami stali, więźniowie - znowu leciało się bliżej bramy, w kolejkę i drugą pajdkę... i tak się czasem obróciło parę razy.

Ale jak poznali po ubraniu, to kijem kości połamali. Ale mnie się parę razy udało.

Później transport wąskotorówką do Norylska. Wiezli nas na platformach, nic nie ma, tylko wojsko stoi. I co, w spodnie robić? Pytam się wojskowego, a on:
- Siadać na burcie!

I człowiek spuścił spodnie i siedział na tej burcie, z Dudzinki do Norylska... Śmieję się - płakać będę? Przecież to 50 lat temu było...

Do Norylska pierwszych ludzi przywieźli w 1935-36 roku. Jak siedziałem, to spotykałem się z pierwszymi gośćmi, których pierwszych tam przywieźli. To byli zamożniejsi gospodarze, których podczas kolektywizacji wsadzali. Jak go pytales: "jaki masz wyrok?", to on nigdy nie wiedział, bo ich sądziła OSO: Asobo-Sawleszczanije. Nie było sprawy, nie było wyroku - zabierali i wywozili. 1 rok posiedzisz, dwadzieścia, pięćdziesiąt...

- czy ci ludzie opowiadali o egzekucjach w Norylsku we wczesnych latach 40-tych?

Możliwe. Ja z tym się nie spotkałem.

Przywieźli mnie do obozu nr 6. To była jeszcze ogólna numeracja. Tam było 16 tysięcy ludzi.

- gdzie był ten obóz?

Niedaleko były widoczne, pod taką górą, w końcu obozu - kamieniołomy. Tam pracowali katorżanie. Naprzeciwko kamieniołomów był obóz nr 25, katorżanski.

Słychać było, jak w kamieniołomach te miotki pneumatyczne dudnią. I któregoś dnia, nie wiem, o której godzinie - to był 45 rok albo początek 46 roku, zaraz, jak mnie przywieziono do Norylska - słyszemy strzały z karabinów maszynowych, z pepeszy. Strzelają, a ci katorżnicy po tych skałach tam się

drapia do góry. A tam ściana prawie pionowa, i oni się tam wdrapują.

- Pan widział tych ludzi?

To jest odległość może 100-150 metrów, ale widac było, że jakies tam stworzonko się drapie po tych skałach. I masę się ich przedostało. Bo tam, jak się okazuje, za górami, gdzie te kamieniołomy, później już równina. I oni jak już przez tę górę przedostali się... Podobno po tygodniu już wszystkich poprzywozili, trupy poprzywozili na wozach. Wybili, wystrzelali.

- Dużo ich tam uciekało?

Podobno 30 osób uciekało. W ten sposób: kurniki były na dole i strażnicy ich pilnowali. A któryś był na dole, zimno mu było i palił ognisko. I któryś z więźniów poprosił, żeby odpalic papierosa czy coś - podszedł bliżej; zaatakował tego wojskowego i zabrał mu broń. Jak zabrał broń, to łatwo mu było zlikwidować tego na "kurniku", bo "kurnik" nie jest duży. Puczył serię i go zlikwidował. Ale "kurnik" nie jest jeden, tylko są dookoła. To pozostali strzelali, a oni w górę. Którego zabili, to zabili, ale część przedostała się, w tego kamieniołomu wylazła i na drugą stronę.

Bo oni przeważnie pracowali tylko w tych kamieniołomach. Drugie też były kamieniołomy, przy drodze do miasta. Tam cement wypalali. Tam wydobywali też kamień, z którego wypalali cement. Tam też katorżanie z obozu nr 25 pracowali. Spotykaliśmy ich, jak nas wyprowadzali do pracy. Z numerami. My później też nosiliśmy numery. Ja swojego numeru nigdy nie nosiłem - zawsze, jak któryś zmarł, zobaczyłem, jaki ma numer, spisałem na szmacie, przypiąłem agrafkami (pod spodem był mój). Ja miałem numer M-855.

A trochę dalej, koło obozu nr 25, była fabryka nr 25. Ja później pracowałem w tej fabryce.

- Co produkowała ta fabryka?

Co ona produkowała, to diabli wiedzą. Tam było masę spraw tajemniczych.

- Nie pamięta się Pan, kiedy wybudowano fabrykę nr 25?

W 1945 roku już była wybudowana. Stawiali Niedstroj, stawiali koksownię koło obozu nr 6. Bo przedtem wypalali koks w ten sposób: był ogromny plac, może 1000 na 1000 metrów, wyłożony kocimi łbami, na to położone były szyny wąskotorowe, w kwadracie, jak szachownica. Przywożono węgiel, sypano hałdy może 2 metry wysokie i 2 metry szerokie i podpalali ten węgiel. Węgiel się zapalał, z wierzchu robił się popiół, a w środku ognisko przez ten popiół nie mogło się wydostać. I tam się ten węgiel koksował. Ale z wielkiej hałdy 3/4 się spaliło, a tylko reszta skoksowała. Dym walił, ze światła nie było widać. Tak gospodarowali.

W obozie nr 6 byłem około roku. Później wywieźli mnie na kopalnię, to był obóz nr 1.

- To było jeszcze przed reorganizacją obozów?

Przed. To była kopalnia węgla, koło Szmitychy. A po lewej stronie była fabryka wzbogacania rudy, nazywali ją w skrócie BOF. Na tej kopalni nie spotkałem Polaków.

W 1947 roku czy 48 przywieźli na tę kopalnię transport Estonców. Na oddział 3, ten oddział, gdzie ja pracowałem, dali ich siedemdziesięciu. Na wiosnę tylko jeden został. Wszystkich wybiło - języka nie znali, kopalni nie znali, naród delikatny...

Jeden tylko został, taki mały, pamiętam, fast

chłopisko, gdzieś ponad 2 metry, Kusk się nazywał. On był przydzielony do tych, co zabudowywali ściany, stawiali stemple. Pracował w miejscu zabudowanym tego korytarza. Jak się zdenerwował, to krzyczał tylko: "Kurat! Kurat!"... A "kurat", jak się okazało, to znaczy diabeł. On jeden przeżył. Później mnie zabrali, nie wiem, czy dalej przeżył.

W każdym razie jakaś ustawa tego całego wyższego dowództwa wyszła i wtedy ich tam masowo wsadzali...

- To byli wojskowi?

Nie wiem. Byli w cywilnych ubraniach.

- Czy słyszał Pan o buncie oficerów estońskich w jednym z obozów Norylska?

Może, może... Był podobno bunt własowców. Podobno ich tam dużo zlikwidowali, rozstrzelali.

- Kiedy to było?

Własowców przywieźli chyba zaraz w 1946 roku.

- I w tym roku oni się zbuntowali?

Czy się buntowali - nie wiem. Wiem tylko, że byli, bo oni normalnie w niemieckich mundurach chodzili.

- Ci własowcy, jak ich przywieziono, zaczęli się organizować?

Podobno jakieś tam bunt mieli. Ale o co im chodziło - nie ma pojęcia. Ich szybko wypuścili na wolność, ale oni na wolności prędzej poumierali jak w tym obozie. Z tego względu, że w obozie jaką porcję dostał, taką dostał. A w tamtych latach, jak ich przywieźli do Norylska, to były kartki, cała Rosja miała kartki na wszystkie artykuły spożywcze. I on dostał kartkę na miesiąc. Nie mieli gdzie mieszkać - spali po fabrykach, po kanałach, zwinął się i spał. Jak dostał kartkę, to szedł na rynek, na bazar. Wolno było wykupić żywność na 3 dni przed terminem i 3 dni po terminie. To on wykupił 3 dni

przed terminem, wygiadzony - za jednym posiedzeniem to zjadł, co miał. Później szedł na drugi dzień na rynek, sprzedawał kartkę za ileś rubli, za te ruble kupił na drugi posiłek jedzenie - i miał z tego całego miesięcznego przydziału dwa posiłki. A skąd na resztę miesiąca? I z głodu powymierali prawie wszyscy, na wolności.

- A jak zrobili ten bunt, nie wie Pan, co się z nimi stało?

Nie wiem.

- Gdzie miał miejsce ten bunt?

Nie wiem. Jeszcze nie było tych spec-Tagierow, tylko były normalne. To był 1946-47 rok.

W tej kopalni nr 1 byłem ze dwa lata i w 1948 roku zabrali mnie do spec-Tagierow. Przywieźli mnie do obozu nr 4, murowane baraki.

Pędzili do pracy do kopania fundamentów. Ogromny plac ogrodzony, kurnikami, wysekami jak oni nazywali, obstawione. Jak budowali fabryki czy domy, to musieli dokopać się do skały. Można kopać 40 metrów i ziemia jest zmerznięta. Ponieważ obawiali się, że ta ziemia kiedyś, po ogrzaniu betonem zacznie się topić, kopali wszędzie do skały. W jednym miejscu było do skały 10-15 metrów, w innym 30 metrów. Wszędzie kopano kilofami doły półtora metra na półtora, a jak dokopano się do skały, to robiono takie dwa "rękawy" w lewo i w prawo.

Później ten cały plac zasypali materiałem wybuchowym i zasypali te doły z powrotem. Więźniów wyprowadzili i zdetonowali. Niektóre wyrwane z tego glazy były jak góry. Koparki postawili i to wszystko wybrali. Parę kilometrów w kwadracie.

Z innych obozów przywozili wagonami i na fajrant odwozili,

ale Czwarty obóz pracował tylko tam. I zaczęli nabierać więźniów do przyuczenia, np. na spawacza. I ja spotkałem - na wolności go nie znałem, ale pochodził ze stron niedaleko - ode mnie - takiego chłopaka: on pracował jako kowal. Nazywał się Aleksander Tumach. Wrócił do kraju, ale gdzie mieszka, to nie mam pojęcia. I on mówi, że ma znajomego, który organizuje taki kurs spawaczy. "Zapisz się". Chętnie, zawsze nie w tym ole...

Przydzielili mnie do innej brygady, tam hala była i tam na boku ze 40 więźniów i był Ukrainiec ze Lwowa, nazywał się Grzyb. Przedwojenny spawacz i on nam mniej więcej pokazywał, tłumaczył.

W tej brygadzie *dziwadłym* był Rumun, na niego mówili Ceausesco, bo oni przeważnie takie nazwiska mają. Wielkie chłopisko, podobno był w stopniu kapitana w wojsku niemieckim. Miał wyrok 25 lat. Czuł jakąś sympatię do mnie i zawsze mi tej zupy dawał więcej. Człowiek się jakos podreperował.

Tych na wykończeniu nazywali przeważnie *fitin*. Ledwie nogi przestawiał, uschnięty. Puskę po konserwie nosił, brał ten chlebek *garantinyj*, tę porcję najmniejszą, nie zjadał, niósł do pracy, gdzieś przy ognisku nalał wody do pudełka po konserwach, wrzucił ten chleb, rozgotował i tę wodę wypił. Z 300 gram chleba zrobił litrową puszkę papki-nie papki... Jak wypił, to miał brzuch, ale kalorii więcej nie miał... Później - wpiersw uschnie, później spuchnie, cały jak galareta nalany, i wykańcza się. Idzie do skrzynki.

W każdym baraku w środku był korytarz. W tym korytarzu drewniana, dwa metry długa, na metr szeroka, i tam: "nie wstaje?" - ściągali w bieliznie, wrzucali do skrzynki. Była

skrzynka pełna, to podjeżdżał furman z saniami przeważnie, bo tam mało kiedy nie było śniegu. Na bramie wychodził wojskowy z takim sztyletem długim, pręt wygięty, otwierał skrzynię i po tych trupach dźgał: jednego w oko, drugiego w bok... Żeby ktoś żywy się nie położył. Ale nikt nie próbował uciec, nie było szans.

Zmarłych więźniów wywozili pod Szmitycę. Ale jak były duże mrozy, to oni przecież nie nadawali kopać tych dołów. I ci więźniowie leżeli w takich sztablach jak drzewo w tartaku. Jak się odwilżyło, to kopali doły i wrzucali po pięćdziesięciu. Ale oni tam będą leżeć i 100 lat, oni nie zgniją - zmarznie na kość i jak w zamrażarce będzie leżał.

Zaczęliśmy spawać konstrukcję, i tam uczył się też młody Ukrainiec. A Ukraińcy sympatii do Polaków nie czuli, i Polacy do Ukraińców. I on coś mi powiedział, ja mu odpowiedziałem, może niezbyt grzecznie... W każdym razie on poszedł na skargę do tego Grzyba - i wyrzucili mnie stamtąd.

Ale już trochę spawać umiałem. Dali mnie na montaż, gdzie już montowali całe konstrukcje tej huty miedzi.

Jak całą fabrykę mniej więcej wybudowali, wszystkich więźniów stamtąd zabrali na, jak mówili, *Gorstroj*, na budowę miasta. Było ogrodzone ze 20 kilometrów kwadratowych, 2 druty wysokie, 2 mniejsze, obstawione tymi "kurnikami".

Nas zostawili na tej fabryce 15-16 ludzi. Właśnie tam spotkałem się z panem Kotarewiczem. On przyszedł już jako cywil, pracować jako majster na wielkich piecach. Główny mechanik nazywał się Niwiński, to był jakiś zesłaniec jeszcze z czasów carskich.

Kotarewicz w obozach w Norylsku żadnych nie był. Przyjechał jako cywil - może, żeby ślad zmylić albo co -

przyjechał z żoną, później sprowadził matkę, siostrę. Pracował jako cywil, miał dobrze.

Mysmy pracowali z cywilami, ale oni pracowali tylko 6 godzin i mysmy razem z nimi, tylko 6 godzin. Ja na tych piecach byłem jako dyżurny spawacz. Ale to trwało tylko 3-4 miesiące i nas też w końcu usunęli stamtąd.

Poszliśmy na budowę miasta, blicków. Tam popadłem do brygady Ukraińca, nazywali go diadia Sasa, Aleksander miał na imię. On był z tych polskich Ukraińców do 1939 roku. Był przed wojną zawodowym podoficerem. Nawet normalnie nie umiał chodzić - chodził sztywny, jak oficer. Czuł jakąś sympatię do mnie i jak przychodziliśmy do pracy, to brygada szła w swoim kierunku, do pracy, a ja sobie siedział w swoim kierunku. Gdzie sobie znajdowałem ciepły kąpiel i sobie siedziałem 12 godzin. Praca była punktualnie od 7 rano do 19 popołudniu i na dziewiętnastą wycnodziłem przed bramę, żeby w mojej brygadzie stanąć.

Z wojska najgorszy był nowy rocznik. A najgorsi ludzie to Mongoły, te skośnookie. Taki by ojca zabił, matkę, siostrę, wszystkich by wystrzelał.

Bo potem, jak taki żołnierz posłużył rok, dwa, trzy, to widział, że więźniowie to są normalni ludzie. Tam niektórzy to nawet swoich sąsiadów spotkali w obozie. I te stare roczniki, oni odzywali się normalnie, zachowywali się normalnie. A nowy rocznik to: jak idziemy do pracy, to musimy pod ręce się trzymać, mroz 50 stopni, a my pod ręce się trzymamy... Czuję, że policzek mi zmarzył, ale nie mogę rękę opuścić, żeby rękę to rozgrzać, rozetrzeć... I tak chodzili niektórzy bez nosa, bo im podmrażała się. Bo się nie wolno puścić.

Był taki starszy ksiądz...

- Rosiak?

Chyba tak. A taki Iwan Iwanowicz, z Mińska, Komsomolec wychowany chyba w domu dziecka. Był brygadziwą. To był kawał skurczybyka, i on temu księdzu strasznie dokuczał. Kiedyś ja spotkałem tego księdza, on był taki spokojny, bezradny, bezsilny... Bo Ciszek był energiczny. A nad tymym ten Ruski się zwał, gnębił go. I mówię:

- Powiedz, w czym on ci dokucza, to ja pojdę i zrobię z nim porządek.

On mnie prosił:

- Jureczku, nie chodź, dziecko kochane, nie chodź, bo krzywdę ci zrobią...

Ale ja poszedłem do tego Rosjanina i mówię:

- Jeżeli będziesz mu dokuczał, to uważaj, bo będziesz miał do czynienia ze mną.

I on faktycznie pofoligował.

- Czy słyszał Pan o inżynierach niemieckich, którzy w Norylsku wysadzili jakąś fabrykę w powietrze?

Był inżynier, podobno był Ślązakiem, ale po polsku pięknie gadał - nazywał się Bigas Stanisław. On był całym kierownikiem budowy hutę miedzi. Też był więźniem. Z Moskwy przyjeżdżali w baranicach karakułowych, to mu się nisko kłaniali, rękę podawali, gratulowali. Był wybitnym inżynierem. To był porządny człowiek. Czy to był Niemiec, Ślązak, Polak?

Inżynierowie z nami nie mieszkali, oni mieli swój barak. Inaczej byli odżywiani, inaczej ubierani.

Najwięcej było w obozie Ukraińców. Jak było w brygadzie 30

ludzi, to 17 było Ukraińców, 1-2 Rosjan, jakiś Chińczyk, Japończyk, czy Koreańczyk, czy Polak.

Nie pamiętam, czy to był rok 1950, czy 1949 - przywieźli dosyć dużo więźniów z Tajszetu. Ukraińców, partyzantów nacjonalistycznej Ukrainy, myśmy mówili "z bandy UPA" albo Bandery...

Ci nowi ludzie - może byli później sadzeni, może w latach 47-48? - byli bardziej zorganizowani. Bo ci sadzeni w 1945-46 roku, to tacy byli: niezorganizowani, jeden na drugiego skarżył, taka zbieranina. Ci przyjechali bardziej zorganizowani. Może to nawet takie ich dowództwo było?

I oni zaczęli cesać. Dogadywali się: ach, tamten co idzie, stukaczem jest... Tamtego wydał, tamtego wydał... I albo w pracy... Baraki zamykali o dziesiątej wieczór - dzwonili w takie szyny 15-20 minut przed zamknięciem, żeby wracać do swojej celi - a otwierali rano. I przeważnie rano, po otwarciu baraków, jak rozdawali paczkę chleba i zupę - wtedy zakładali jakieś ponczochoy czy szmaty na głowy, na twarze i wpadali do danej celi. Byli już przyszykowani, mieli przeważnie noże, siekiery, co się dało przemyć. Siekiery mieli bardziej na terenie pracy, a w obozie - noże. Zaszyteliwali - i znikali.

- Czy to miało pozory wykonywania wyroku. że ten człowiek wiedział, za co...

Nikt nie oświadczał, za co i tak dalej - wpadli, wiedzieli, gdzie mniej więcej leży ten człowiek... Bo przecież w baraku była masa ludzi. Oni później już też się zorganizowali, i po zaplanowaniu, że dana osobę mają zabić, ci wykonawcy już wiedzieli, że wchodząc do celi - po lewej na przykład stronie na górze w drugim przejściu leży taki i taki

facet, na którym mają wykonać wyrok. I tam go zadźgali i znikali.

- Kto wydawał te wyroki? Czy była taka organizacja?

Oczywiście, oczywiście, że musiała być taka organizacja.

- Czy Pan się z nią zetknął?

Bezpośrednio ja z nimi się nie stykałem, dlatego, że ja też z nimi miałem na pieńku. Bo oboz nr 5, tam, gdzie był Mogielnicki Stanisław, i Czwarty - pracowały razem. Obozy były osobno, ale miejsce pracy było wspólne. Fiaty miał blisko do pracy, a myśmy mieli ze 4 kilometry.

Mogielnicki pracował w betoniarni, której kierownikiem był Stanisław Kosiba. Tam brygadzysta był Ukrainiec. I kiedyś on do Staska Mogielnickiego mówi, że on Polaków na wolności zabijał i tutaj też będzie to samo robił, że będzie się mścił. I Stasiak poskarżył mi się, że on tak powiedział. Jak go spotkać? On pracuje na dzień, on na noc. Ja w Czwartym obozie, a on z Piątego. Nie ma możliwości go spotkać...

A do pracy wyprowadzali kolumnami, 100 osób w kolumnie, prowadzi ich 10 bajców, z psami. Później doszli do tego, że przed wyjściem więźniów wychodziło wojsko z koszar, ustawiali się w taki korytarz, na prawo i lewo od drogi, a drogą jedni więźniowie szli do pracy, a drudzy z pracy. Mijali się na tym odcinku 4 kilometrów. I ja chcąc spotkać tamtego Ukrańca - byłem na dzień w pracy, wracałem do obozu, siedłem i normalnie zawróciłem się, tylko na swoje miejsce musiałem Rosjanina postawić. On z moją brygadą poszedł z powrotem do obozu, a ja z jego brygadą wróciłem do pracy.

Wróciłem do pracy, wiem, gdzie tamten pracuje, jeszcze Bolka Dubowicza spotkałem i mówię:

- Chodz, mamy sprawę do załatwienia...

Wiem, że brygadzysta przychodzi do narzędziowni po narzędzia dla ludzi, pobiera kilofy, łopaty. Więc myśmy przyszli, a w narzędziowni pracował też Polak, Edziu miał na imię, nazwiska nie pamiętam. I ja mu mówię:
- Dtwórz narzędziownię.

On otworzył, ja z Bolkiem tam weszliśmy - i przyszedł ten brygadzysta, ten Ukrainiec. Mówi, że będzie pobierał narzędzia. Narzędzia pobrał, rozdał ludziom - ale ja Edkowi powiedziałam, że jak ludzie wyjdą, żeby go zaprosił do środka, i Edek go zaprosił. Jak on wszedł do środka, to myśmy go z Dubowiczem zaraz za kark - ten Ukrainiec to też był kawał chłopca - i dawaj go okładać. Walili my go i młotkiem, i kilofami, tylko nie ostrzem, a tylko płazem. W każdym bądź razie on już był nieprzytomny. Myśmy go zostawili w tej narzędziowni i sami dali dyla.

Daliśmy dyla, ale człowiek był za bardzo znany w obozie - zaraz ten Ukrainiec powiedział, kto to zrobił... Nie wiem, jak to było - czy wrócili po niego, bo go długo nie było, czy ktoś tam dał znać? - w każdym razie Ukraińcy się dowiedzieli, że to ja zrobiłem. I teraz szokają...

Przy wykonywaniu bicia byliśmy we dwojkę z Dubowiczem. Teraz był z nami jeszcze taki Marian Jazik. On podawał, że był w polskiej armii, armii Andersa czy jakiejś innej, że był w stopniu kapitana. On właśnie przyjechał razem z Ukraińcami z tego Tajszetu. Taki cwaniaczek, szczupły, niziutki. Był z nami, bo powiedziałem mu, że dam mu cukru.

Bo parę tygodni wcześniej, przed tym przypadkiem, na terenie budowy był taki duży magazyn. I ktoś mi powiedział, że jest cukier w tym magazynie. A ja, jak nic nie robiłem, to miałem czas. Dorobiłem klucze do tego magazynu, wziąłem ze

sobą tego Krawackiego, on już zmarł, i otworzyłem ten magazyn. Zapraliśmy chyba 4 albo 6 worków tego cukru. Ja worek mogłem unieść, ale Krawacki nie mógł unieść, za słaby był. Musiałem rozpruć worek, trochę odsypać, żeby on mógł unieść.

Wynieśliśmy ten cukier i pod taki blok schowaliśmy, żeby później zabrać. Potem człowiek zjadł i drugiemu dał. Ja tam specjalnie głodny nie byłem, ale brało się kilo cukru na litr wody, rozrobiło się takie gęste - jak człowiek wypił, to go trochę trzymało.

I nie wiem - czy temu Marianowi powiedziałem, że cukru mu dam? Chyba tak, dałem cukier Bolkowi i Marianowi i idziemy. A przy tej betoniarni, niedaleko, była taka hala, gdzie zbrojenie wykonywali. Tam były takie różne belki, zbrojenia cienkie i grube. I ci Ukraińcy poszli na tę halę, nanosili prętów półtorametrowych, łomów, oczywiście mieli jakieś noże, siekiery - i teraz ściągają...

Patrzmy - stoją ci Ukraińcy rzędem przy tej hali. Jak tylko myśmy tam doszli bliżej, to oni w krzyk:

- Ten!

I od razu zaczęło się zamykać kółko wokół nas. Bolka jakos zostawili, a my z Marianem uciekliśmy.

Cc prawda już się szykowało ten cały strajk czy punt, jak to określić, i myśmy już też byli przygotowani. Mielismy finki porobione...

- To już było po śmierci Stalina?

Tak, tak. Jeden starszy człowiek, Polak, był kowalem, a Wacek Suchocki był jako pomocnik. I ja tam u nich zamawiałem, żeby wykuli te finki, ros sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt noży podkuwali...

- One były dla wszystkich Polaków?

Wszystkim się nie dawało, bo każdemu się nie wierzyło. Ale mniej więcej...

- Ale było siedemdziesięciu "zaufanych" Polaków?

Oczywiście. Ale wszystko zależało od sytuacji, człowiek wierzył i nie wierzył - ktoś zaufany jest, ale dostanie w skórę i później...

Te noże dla nas zrobili, ja później je rozniosłem po narzędziowniach, gdzie kilofy ostrza. Bo z kuźni dostaliśmy takie odkówki, a później trzeba je było oprawić: rączkę zrobić, oszlifować, naostrzyć. To wszystko zostało zrobione, myśmy mieli noże: i ja, i Bolek, i ten Marian.

Uciekamy - od dwóch naprzeciwko czterdziestu? I taka budka była, gdzie wexel się przerzuca na kolei. Do tej budki myśmy wpadli. Patrzymy, a ich tam ze czterdziestu, tych Ukraińców, z siekierami, z łomami, łeci... I oni od razu za nami.

W tej budce były dwa okna i dwa pomieszczenia: przedsionek i pokój. Więc mówię: niech jeden stoi przy drzwiach, pilnuje, żeby oni się nie wdarli, a ja będę obstawiał okna. Jeden z tamtych trzasnął łomem, to ramy okien wyleciały z szybami... A obok było składowisko cegły. Wagony przychodziły i ładowali tam cegły. Ci Ukraińcy zaczęli rzucać ceglami.

Przy drzwiach był ten Jazik. Nie wiem, jakim sposobem, może więcej z nimi sztamę trzymał? diabli wiedza - w każdym razie on zniknął, a oni się wpakowali wszyscy! Zostałem sam. A oni do środka. Już oknami zaczęli wiazić: człowiek zwrócił uwagę na drzwi...

Mnie wtedy tam dorzli porządnie. Ktoryś uderzył mnie w twarz, wyłamał mi z przodu chyba 4 czy 5 zębów, a drugi cios dostałem łomem w rękę i ta finka wypadła mi z ręki.

Wtedy skoczyłem na ławkę - w rogu była taka ława z desek. Wskoczyłem na tę ławę i głowę miałem w samym rogu, pod sufitem, bo to pomieszczenie nie było wysokie. Także jak jakiś chciał po głowie mnie uderzyć, to zawadzał o sufit. Nie mogli mnie po głowie uderzyć. Ale po rękę, po nogach tymi łomami mnie tam obrabiali...

No i jakos potem rzucili to wszystko i znikli. Mnie zabrali stamtąd do szpitala...

- To i jak miał Pan szczęście...

Tak, miałem szczęście, że mnie poprostu nie wykonczyli, nie zabili.

Zabrali mnie do szpitala, a na drugi dzień - taki szum powstał. "Ukraińcy pobili Polaka"... No to zaczęli, że będzie zemsta, że Polacy będą teraz tłuc Ukraińców.

- A panowie Szumski i Matosko byli w obozie nr 4?

Tak, tak. Ale Ukraińcy, ci przywódcy - ja się z nimi nie spotykałem, tylko ktos tam z naszych spotykał się, przypuszczam, że to był Matosko - powiedzieli, że ja nie miałem racji. No i praktycznie to tak było. Nie mogłem robić samosądu. Jeżeli on powiedział tak, jeżeli on nietaktownie postępował, to powinniśmy zwrócić się do nich, oni by go przykarcili - a nie robić samosądu. Ponieważ ja zrobiłem samosąd, to ja też oberwałem i oni za to nie mogą odpowiadać.

No a po drugie, oni szykowali cały bunt i to się tak "utario" między jednym a drugim...

Mniej więcej przypuszczam, jak wyglądał ten cały ich przywódca, ale znałem go tylko z widzenia, kontaktu żadnego nie miałem.

- A jak się nazywał?

Nie pamiętam. Oni tam dużo posługiwali się swoimi

pseudonimami, które mieli jeszcze z wolności, z band.

- Ale ten ich przywódca był przywieziony z tajszetu?

Tak, tak.

W tym obozie nr 5 też jednego Polaka - zabili. Nazywał się Stanisław Wrona. On był szpiclem, normalnie, on się nawet nie ukrywał. Bo wśród Polaków kilku też było szpiclami. O Koprowskim pobąkiwali, że był szpiclem. Pobąkiwali, że styczności mało kto z nim miał, z Polakami przeważnie nie trzymał, z nikim oprócz tego Antka Zimnocha, bo z nim pracował.

Był też taki kucharz, później się z nim spotkałem, też był szpiclem, on też się nie ukrywał. On był z obozu nr 5, nie wychodził do pracy. Miał takie czarne włosy. Nie pamiętam nazwiska.

- A nie nazywał się Wróbel?

Nie. W tym obozie nr 5 trzech Polaków było kucharzami: jeden miał Władzio na imię, drugiemu było Romek - to byli porządne chłopaki. A tego trzeciego nie pamiętam.

A Wronę Ukraińcy zarabali.

- Nie spowodowało to żadnych zażrzeń między Polakami a Ukraińcami?

Nie, nie. Właśnie wtedy zwrócili im Polacy uwagę, i doszło do tego, że zostało powiedziane - przynajmniej ja tak słyszałem, bo inni nie wiem; to wszystko robiło się w wielkiej tajemnicy ze zględu na to, że tych szpicli było w każdej brygadzie paru i każdy się obawiał - w każdym razie było w ten sposób powiedziane, że jeżeli któryś z Polaków postępuje nietaktownie - odnośnie śmierci tego Wrony - to oni powinni się zwracać do nas, do Polaków i Polacy powinni sami się z jakimś Polakiem. Jeżeli Ukraińiec będzie, to Ukraińcy.

Żeby nie powstało jakies... Każda narodowość ma to załatwić sama. Żeby nie było jakichś zemet międzynarodowościowych.

Było powiedziane: jeżeli Polak postępuje nietaktownie, to Polacy robią porządek, jeżeli Ukrainiec, to Ukraińcy, jeżeli jakiś tam z innej narodowości, to ta narodowość. Chociaż inni w ogóle tam nie byli zorganizowani.

Z tymi Ukraińcami z Tajszetu przyjechał bardzo porządny chłopak Suchocki Stanisław. Szalenie porządny, jak on mnie lubił, za mną chyba by w ogień wpadł. Ale później po tym całym buncie odizolowali go, wywieźli go gdzieś indziej. A ja zostałem. Za mną był Mattoszko, odizolowany był Ochocki, Malec, teraz nazywa się Malczewski...

- Czy coś zapowiadało wybuch strajku? Jakie były przyczyny?

Przyczyny były takie - po prostu chcieli pokazać się, że są...

Wymagania były takie: żeby zdjęli numery, żeby zaczęli płacić po parę groszy (żeby chociaż na ten tydzień czy na coś mieć), i domagali się, żeby zaliczali, tak jak recydywom, zaczęły - w zależności od wypracowanej normy odliczali od wyrobku dni.

- Dlaczego akurat w tym momencie wybuchł strajk?

Akurat był taki czas: Stalin zmarł, Malenkow wszedł, i trochę się pofolgowało...

- Czyli było czuć zmianę?

Oczywiście. Żeby to był Stalin, to by żaden z nas żywy nie został. Wytykliiby wszystkich. A po Stalinie był jakiś czas Malenkow i to wszystko się automatycznie pofolgowało.

- Czy NKWD inaczej postępowało?

Sama NKWD może nie, ale nie mogli działać bez żadnych

dyrektyw, odgórnych decyzji. Przecież przyjechali do nas, do obozu nr 4 generalowie z Moskwy, na pertraktację w Wieszniamiv.

W czasie strajku cele i baraki już nie były zamykane. Trzeba było trzymać wartę całą noc, ktoś musiał chodzić, czuwać, bo wojsko skosiło druty dookoła obozu, porobili takie wejścia. Cały obóz był obstawiony karabinami maszynowymi, chyba dwu- albo trzykrotnie.

- Pamięta Pan początek, wybuch buntu?

Początek pierwszego buntu to był zdaje się 19 maja 1953. To było dosłownie w trzy dni po tym moim zejściu z Ukraińcami.

- To Pan był wtedy w szpitalu?

Byłem w szpitalu, ale zaraz musiałem z niego wyjść. Zaraz przyszli, bo tam niektórzy Polacy... So więźniowie od razu zapowiedzieli, że nie będą przyjmować jedzenia. Błogówkę robią. I było paru Polaków, którzy wylamali się z tego i poszli do tych enkawudzistów, że oni chcą jeść, żeby im dać jeść. No to przyszli [Ukraińcy] do naszych:

- Jak to? Wylamali się...

...żeby z nimi zrobić porządek. I ktoś musiał iść i dać im po głbie, żeby więcej tego nie robili.

- To była duża grupa, tych Polaków?

Nie, dużo nie było, zdaje się trzech czy czterech.

- Pamięta Pan, kto to był?

Nie, nie pamiętam. Z widzenia ich mniej więcej kojarzyłem, ale masę było takich Polaków, co się w ogóle nie przyznawali, że są Polakami.

- Jak Polacy byli ustosunkowani do strajku - zwłaszcza ta grupa, z którą Pan się stykał? Byliście za, przeciw, neutralni?

Przeciw, nikt nie był. Byli za, tylko jest taka sprawa - tam nie było jednej narodowości. Tam było kilkanaście narodowości. Nie można było wszystkich zorganizować, żeby jakoś twardo trzymali się według jakichś tam zasad, czegoś się domagali... I dlatego to wszystko...

- A kto się najbardziej wyłamował?

Chyba ci Azjaci. Oni w ogóle nie chcieli od tego przystępować.

- A Japończycy jeszcze wtedy byli?

Japończyków było bardzo mało. To jest naród bardzo delikatny. Oni pracowali przeważnie w pralniach, w łaźniach. Nie było ich dużo, tak że oni się w ogóle nie liczyli. Nie wychodzić do roboty? No to nie. Nie robić? To nie robią. Ale jak później doszło do tego [szturmu] - dlatego się to wszystko rozprysło.

- Jak się zaczął bunt? Kto go ogłosił?

Kto ogłosił, to ja do tej pory nie wiem, bo ja wtedy byłem w szpitalu.

- A co było pierwszą oznaką, że się zaczęło?

Jedni, ci, co byli w obozie nie wyszli do pracy, a drudzy, co byli w pracy, zostali na terenie budowy.

- A kto to ogłosił?

Musiał ktoś ogłosić.

- Czy zdarzały się przed strajkiem przypadki, że stróżnik strzelał do więźniów? Coś czego wcześniej nie było?

Bezpośrednio na ośrodku, w obozie on nie mógł strzelać. Nie, nie było takich przypadków. Ale jak więźniów zbliżył się czy przekroczył tę zapretkę...

- Ale ewidentnych zastrzelen z premedytacją?

Nie było.

W czasie rozpędzania strajków w obozie nr 25, tam ich kilkunastu zginęło. Tam i granaty rzucali do łaźni, bo oni w końcu w łaźni się zamelinowali i nie poddawali się. tam ich kilku zginęło.

Ale tu strzałów do danych więźniów nie było.

- W obozie nr 4 też nie strzelano?

Nie. Tutaj były pocięte dookoła druty.

W końcu załamali się więźniowie - zaczęli pojedynczo wyskakiwać. Bo to wszystko wyszło na zewnątrz baraków, wszyscy stali na dworze.

- Kiedy był ten moment załamania się strajku?

Nie pamiętam... To było gdzieś tak po obiedzie.

- A w ile czasu po rozpoczęciu buntu?

To trwało z 8-10 dni.

Wojsko było dookoła, część z karabinami maszynowymi była ustawiona, a część chodziła koło drutów. Prowiant przywozili na bramę, dalej nie mogli wchodzić, więźniowie zabierali ten transport i wieźli na magazyn.

Strajk był dla nich dużym kłopotem. Myśmy puszczali latawce, w latawcu był plik ulotek, latawiec leciał na miasto i tam się rozsypywały te ulotki. I jak widzą, że leci latawiec, to kompania wojska za nim leci, żeby te ulotki pobierać!... Żeby cywile nie dostawali.

- I z Czwórki też puszczaliście takie latawce? Dolatywały do miasta? Przecież to 4 kilometry?

Dolatywały, oczywiście.

- Czy był podział funkcji w obozie po wybuchu buntu? Czy była policja w obozie?

Policja to może nie, więcej taka służba porządkowa.

- Kto w niej był?

– A czy to jest potrzebne?

– A właśnie jakich narodowości byli w tej służbie?

– Z różnych narodowości, mieszane było, wszyscy usieli brać w tym udział. Najwięcej: Polacy i Ukraińcy. Bo takich przykładowo Litwinów, Łotyszy czy Estonców była garstka. Litwinów jest 3 miliony, to ilu ich mogło siedzieć? Na taki oboz było ich 5-6, dziesięciu... Nie odgrywali żadnej roli, nie mogli mieć żadnego wpływu.

– Jak byli wybierani ludzie do tych służb? Czy było jakies zebranie, na którym ich wybierano?

– Oficjalnie nigdy nic nie było. To wszystko powstawało tak mniej więcej, jak w konspiracji za okupacji. On jest dowódcą, on mnie zna, ja przekazuję innemu... Wszystko było w z a u f a n i u . To broni Boże nie mogło wyjść na jakies szersze... Że ja przyszedłem i powiedziałem:

– A słuchaj, mnie Mattoszko (czy Szumski) powiedział, że to i to mamy robić...

– Mówiło się danej osobie, do której miałem zaufanie, że masz to i to wykonać albo to i to przekazać gdzie indziej. A kto pierwszy dawał zarządzenie, to już trzeci o tym nie wiedział.

– A Pan, właśnie pan Mattoszko i Meszeryński przekazywali polecenia?

– No oczywiście.

– A Pan komu najczęściej przekazywał?

– Przekazywałem Bolkowi Dubowiczowi i paru innym chłopakom. A na przykład ten cały Linkiewicz był brygadziwą i do niego już nikt zaufania nie miał. Oficjalnie nie mówili, że on jest szpiclem, ale nieoficjalnie też nikt nie mógł powiedzieć, że tym szpiclem on nie jest. Bo był tym brygadziwą i w zamian

musiał coś im dawać...

Tam nie było tak jak podczas strajków w Gdańsku, że pan Wajęsa wychodzi i mówi: to i to i to...

Tam nie mógł się nikt wychylić, bo wiedział, co go czeka. Tutaj to jeszcze było: przymkną albo nie przymkną - tam wiedział, że dostanie w łeb. Za zostanie rozwalony.

- A czy zdarzały się wypadki, że ktoś, kto był aktywny...

Nie, nie.

Po rozpadnięciu się strajku oni [NKWD] wiedzieli, gdzie kto to robił. Nie wiedzieli dokładnie, co robił, ale wiedzieli, że on w tym pałacu maczał.

Generałowie przyjechali na rozmowy, więźniowie stoją uzbrojeni - ale uzbrojonych był może i procent. Każdy coś tam miał: kawałek patyka, cegły (piecze porozbierali), ale jakąś finkę, noż miało bardzo mało więźniów. Przemycić było bardzo trudno, rewizje były codziennie przy powrocie z pracy. Każdy musiał być rewidowany.

- Kiedy przyjechali generałowie?

- Chyba po 3-4 dniach. Jeden nazywał się Kuzniecowa. Ale tak na zdrowy rozsądek - on nie mógł dać sam danego rozporządzenia, żeby np. zdjąć nam numery albo płacić nam pieniądze. Musiał zrobić tak, jak kazała Moskwa. On obiecał nam, że wróci do Moskwy i będzie starał się to wszystko załatwić.

- I wyście czekali na jego powrót?

Nie. Nie czekaliśmy na jego powrót. Pewnego dnia tak samo zbliżył się do bramy, bramę otworzyli, on wchodzi, idzie - a tu stoi więzień... Bo tam od razu, na komendę, na jakiś świst, zapukanie w szynę wszystko z baraków się wysypywało.

Żywy, pół-żywy, musiał wyjść.

Kuźnieców idzie w tłum, do tych ludzi, a ktoś rzucił cegiówką. On dostał w głowę i przewrócił się.

- On po raz drugi był u was?

Nie, pierwszy raz.

Przewrócił się i leży. Wojsko prędko chwyciło go i wyciągnęli. A tu leca kamienie...

- Dlaczego? Przeszedł domagaliście się tego przyjazdu? Dlaczego te kamienie leciały?

Domagaliśmy się przyjazdu, to jest jedna sprawa. On chciał z kims pertraktować, ale znowuż nie było takiego odważnego, kto by wyszedł i usiadł do stołu z nim rozmawiać.

- Nie było żadnej delegacji więźniów?

Nie było, słowa padaly z tłumy. Żeby nikt nie wiedział, kto to mówi. Żeby ten general nie wiedział, kto to powiedział.

- W ten sposób wykrzyczano mu postulaty?

Postulaty. Bo u nas nie było, że się zebrali więźniowie i dane władze, siedli i uzgadniają, rozmawiają na spokojnie... Żądania padaly z tłumy, a on odpowiadał. I prosił: "Niech wyjdzie delegacja"... Ale każdy wiedział, co go czeka po wyjeździe tego generała.

On akurat szedł w kierunku więźniów, a oni ostrzegali go, żeby bliżej nie podchodził. Nie podpuszczali blisko nikogo, ani generała, ani szeregowego żołnierza. A on na upartego szedł. Chciał dojść i rozmawiać.

- Chciał znaleźć tego, co krzyczak?

Widocznie tak. Jakis tam cel miał w tym, że tak podchodził, że nie chciał zatrzymać się 5-10 kroków przed więźniami. No i dostał cegiówką.

Wojskowi, którzy wchodzili przed strajkiem na teren obozu też byli bez broni. Nie mogli mieć, bali się - więźniowie ruszą, zginie ich pięćdziesięciu, ale dorwą broń.

- Czy Kuźniecowa pojawił się jeszcze potem?

Przyszedł, z obandażowaną głową, ale wtedy już - on swoje, a z tłumu podawali postulaty, czego się domagamy. On mówił, że pojedzie, będzie chciał załatwić, żeby przerwać strajk. Więźniowie powiedzieli, że nie przerwą, dopóki nie załatwi.

Później się nie pokazał. Może odleciał do Moskwy, może był. Tego nikt nie wie. W każdym razie pewna chwila przyszła i zaczęli odliczać - godziny, a potem minuty. Przez mikrofony podali: "Zostało wam pół godziny"... "piętnaście minut"... dwanaście, dziesięć, pięć - że wojska ruszy. I w końcu się załamali i zaczęli z tych więźniów...

- Czy to był pierwszy moment, kiedy strażono otwarcie ognia, odliczano minuty? Wcześniej nie było takich momentów?

Wcześniej nie.

Jak doszło do tego, że powiedzieli: "do otwarcia ognia zostały 2 minuty" - zaczęli z tłumu, wiedzieli, że jest tutaj przejście, zaczęli się zrywać z tłumu i uciekać w kierunku przejścia, wojska. Wtedy bramy otworzyli, samochody puscili, na samochodach automaty przywiązane do żołnierzy, że w razie, jak dostanie dany żołnierz i padnie, żeby mu więźniowie broni nie wyrwali. Mieli przywiązane do siebie automaty.

- Ale nie strzelali?

Nie. Oprócz obozu nr 25, bo tam strzelali.

- A tam był atak przed atakiem u was?

Tego nie umiem powiedzieć, bo tam nie byłem. Tam był Makaró i Czesiu Jakimówicz.

- Kto opowiadał o pacyfikacji w obozie nr 25?

Bancewicz opowiadał i Jakimowicz. Gienek Makara też tam był. Ja wiem tylko, że granaty wrzucali do izni i do baraków, bo więźniowie nie chcieli się poddać.

- Czy była w czasie buntu łączność z obozem nr 25?

Mniej więcej jakaś łączność musiała być. Oni najpóźniej się załamali. Piąty załamał się przed Czwartym, oni najdłużej się trzymali. Nie wiem, jak na Kajerkanie i na Miedwieżce. I tam były ofiary śmiertelne...

- Nie mieli nic do stracenia...

Do stracenia to wszyscy to samo mieli...

- No własnie! Panu przecież zostało stosunkowo niewiele wyroku do odsiedzenia. Większość Polaków w 1954 roku kończyły się wyroki...

Tak, ale trzeba zrozumieć jedno - że to wszystko zależy od człowieka. Przykładowo ja miałem taki charakter, że w tamtym czasie mnie absolutnie nie zależało na życiu. Nie tylko na wyjściu na wolność, ale nie zależało mi na życiu. Nie dlatego, że byłem taki zabiedzony czy zapracowany - ja miałem stosunkowo dobrze, nawet nie mieszkałem z brygadą, tylko w innym baraku, z kumplami, jeśli mi nie brakowało, nawet pałki, co mi się należała w brygadzie, ja jej nie brałem wcale.

Nie każdy człowiek się do tego nadaje i nie każdy człowiek być może tego buntu chciał. Ale po prostu bał się tych innych więźniów, którzy mieli duże wyroki. Ja bron Boże, nie bałem się, że jak nie będę brać udziału w bunocie, to mi się coś może stać... Ale takie wypadki były, że jeden miał parę miesięcy do skonczenia wyroku i wychodzi na wolność, a drugi miał wyrok 25 lat. I ten pierwszy bał się po prostu tego, który miał wysoki wyrok, że może mu zrobić krzywdę. Bali się

jedni drugich. Że sterroryzują ich...

- Czy były jakieś rozmowy wśród Polaków o tym, jak się zachować i jaką postawę przyjąć wobec buntów?

Żadnego zebrania, żadnej narady nigdy nie było. Może i ktoś uczestniczył w takich naradach, ale wątpię w to, żeby spotykały się nawet 3 osoby i coś tam uzgadniały. Wszystko było przekazywane jeden drugiemu, ale nigdy w większym gronie, jak w dwie osoby.

Będąc tyle lat ze sobą, jeden o drugim doskonale wszystko wiedział - kto czym "oddycha"... Kto co myśli, kto jak może postąpić...

Bo na wolności to "złapą albo nie złapą", "wyda się albo nie wyda"... Tam człowiek siedział w klatce. Jedno słowo czy zdanie, ktoś pójdzie, powie, że ja byłem aktywny - i już człowiek mógł podlegać jakiemuś wyrokowi albo karze śmierci.

Z drugiej strony wiadomo było, że takim buntem nikt nie mógł nic osiągnąć.

- Dużo ludzi zaczęło uciekać?

Jeden po drugim... Zobaczyli, że jeden leci, to za nim już szło pięciu, za tymi pięcioma dwudziestu i to wszystko się rozsypało.

- Czy jakaś grupa została?

W obozie nikt nie został. Automatycznie - ci, którzy chcieli zostać, nie mogli sami zostać. I oni też wychodzili. Normalnie się wszystko rozeszło. Tylko, że później, jak się to rozpadło, wojsko zaczęło małymi grupkami - po 50-100 osób - rozsądzać ludzi poza obozem. I zaczęli obstawiać wojskiem te grupki. A tam tundra, krzewy, jedna grupka drugiej nawet nie widziała, widzieli tylko, że jakieś wojsko stoi.

I później - selekcja. Dwoch-trzech oficerów i więźniowie, ci kapusie. Kazali pojedynczo podchodzić, a ci kapusie mówili: albo na lewo, albo na prawo.

Jak selekcjonowali, to widziałem, jak kijami okładają. I mówią mi: w tamtą stronę. Ja widzę - stoją z tymi kijami. Myślałem cholera, oberwę. Zbliżyłem się do nich powoli, a później nagle taki szus! Jeden zamachnął się, ale mnie nie zdażył uderzyć, zawadzić. A już za mną następny szedł, tak że nie oberwałem wtedy.

- Jakie były proporcje tych grup?

Proporcje były nie do porównania. U nas było ponad 4 tysiące więźniów w obozie nr 4, chyba prawie 5 tysięcy. W obozie nr 5 nie wiem, ilu było, ale też pewnie w tych granicach. U katorżan... Gdzieś z 20 tysięcy więźniów odselekcjonowali 1500 osób.

- Pan był w tej grupie. Gdzie się znaleźliście?

Tych nieodselekcjonowanych zabrali chyba od razu do obozu, natomiast te mniejsze, odselekcjonowane grupki - siedzimy przykuleni wszyscy, nie wolno było na kolanach. A tu słyszymy, jak okładają...

Nas była taka grupka 15-20 osób. Wygnali nas, tam jakaś wydma była, piech, i tam znowu:

- *Sadis!*...

Wszyscy znow pokucali, a żołnierze dookoła stoją, jeden przy drugim. A my - najwięksi wrogowie, bo wrogowie wybrani z wrogów!

- Kto był w tej grupce z Polaków?

Ja byłem, Mattoszko był, więcej w tej grupce nikogo nie pamiętam.

Siedzimy, siedzimy, tam już nie było żadnych krzewów,

tylko taka wydma. A tam bardzo dużo jest takich muszek, oni to nazywają *maszka*. Wojsko mają takie gęste maski naciągnięte na twarze. Bez tego nalazi ta *maszka* w oczy, uszy, usta, nos, wszędzie.

I siedzimy tam, a tego chmara! A człowiek z mordowany, już w dni poprzednie... I siedzę koło tego *Mattoszki*, i on mówi do mnie:

- Zobacz, dziecko, co z nami teraz będzie?...

No ja wiem, co będzie? Co będzie, to będzie. Teraz nie uniknie się już tego. I tak, jak on siedział, położyłem mu głowę na kolanach i zacząłem drzemać. On mi, pamiętam, przykrył twarz jakąś szmatką czy chusteczką, żeby te muszki mnie nie gryzły. I ja momentalnie usnąłem.

Nie wiem, ile tam spałem, może pół godziny, może godzinę, on trzęsie mnie:

- Julek, Julek!... - ja się budzę - Patrz, idą... Nas tu wszystkich rozstrzelają.

Faktycznie, wojsko idzie, prowadzą z 10 więźniów z obozu, ci więźniowie idą z łopatami. A my siedzimy, ci żołnierze wokół nas pierścieniem stoją. Patrzymy z daleka, ja tam parę osób poznaje: taki kierownik budowy był, wszyscy z tych takich "lewych"... Idaje się, że nawet był w tej grupce z łopatami ten *Linkiewicz*... No, teraz wszystko możliwe jest.

Podprowadzają tę grupkę. Oni kopią dołki, stawiają słupki, drutem kolczastym obciągnęli, taką klatkę zrobili dookół nas. A my siedzimy dalej.

Siedzieliśmy tam może z 8 godzin - samochód jedzie. Przy kabynie stoi wojsko z automatami, automaty pasami do żołnierzy przywiązane, i nam piątkami każą wchodzić na ten samochód. Pierwsi musieli stanąć tyłem do nich, a następni

twarzą. Poupychali nas i na komendę: "Siadać!". Dłasnó, jednemu pięta gdzieś na kolano, drugiemu na przyrodzenie gdzieś wiaźża, gniecie, szturcha jeden drugiego bo samochód naly, klasno, a połowa prawie odgrodzona płotem i tam episko stoi.

Plandeka nas nakryli, wiozą. Nie wiadomo gdzie wiozą. Pod Szmitcichu? Bo tam było cementarzysko więźniów... I faktycznie niedaleko od tej Szmitychy przywieźli. Tam jakieś doły ogromne były i tam walili wszystko ze stołówek, różne kósci, papiery, smieci... Stawali tam i każą nam wysiadać. I w te doły nas wgonili. "Sedits!..." A tam much, rany boskie! Jak to na śmietniku.

Leżeliśmy w tych śmieciach, nie pamiętam, ile czasu. Niedaleko tych dołów były tory. Patrzymy, przyszedł pociąg, podstawiają wagony. Wsadzili nas do tych wagonów.

Wagony były sypane chlorem, wszystko było od tego białe, smród od tego niesamowity, nie idzie wytrzymać, oczy, nie ma czym oddychać... Ale nie ma przecież, że "ja nie pójdę".

- Ale w poprzednich transportach nie chlorowano wagonów?

Nie, nie, tylko wtedy. Diabli wiedzą dlaczego.

Wiozą. Ale gdzie - tam jeden tylko kierunek, kierunek na Dudzinke, tam innej kolei, innej drogi nie ma. Po jakimś czasie staje pociąg. Patrzymy - niedaleko od toru, jakieś 100-150 metrów - obóz.

To był obóz za lotniskiem. Tam nas wysadzili, z tych 1500 osób, które odselekcjonowali, wysadzili połowę. I wtedy z tym Suchockim się rozstałem i więcej go już nie widziałem. Bo on właściwie był w obozie nr 5, z tym że w pracy ja się z nim często widziałem.

Wysadzili nas tam 750 osób. A drugie 750 osób wywieźli do Dudzinki i gdzieś ich wywieźli dalej, ale gdzie? A nas tam zostawili.

- Czy ten oboz miał jakąs nazwę, numer?

Nie wiem. Był niedaleko lotniska, lotniska nie było widać, ale wiem, że niedaleko. Oprócz nas nikogo w obozie nie było.

Byliśmy tam chyba z tydzień, może dwa tygodnie - biorą do pracy. Ale ja do pracy nie idę. Malec tam miał gitarę, siadaliśmy koło baraku: ja, Malec, Mattoszko, i jeszcze ktoś tam był. Leżymy, Władzio wyszedł, niedaleko ten "kurnik" z bajcom, Władzio sobie grał na gitarze, podspiewuje. I zaczęli na mnie krzyczeć: a dlaczego ty do pracy nie idziesz, ty uparty, ty nic nie zrobisz, bo cię lupną... I "cię lupną", i "cię lupną"...

- Koledzy tak mówili Panu?

Tak. Ja mówię:

- Niech mnie lupną, ale do pracy nie pójdę.

No ale na całe szczęście ze trzy-cztery dni - tylko pracowali więźniowie, chyba na lotnisku ich wzięli do pracy, tam innej pracy nie było. Ale jak kierownictwo lotniska dowiedziało się, że to są więźniowie polityczni, i z tych buntowuszczyków, to automatycznie powiedzieli, że takich ludzi nie wezmą do pracy. Bo to jest lotnisko i mogą samolot porwać albo coś. Każdy był ostrożny.

Nie wzięli do pracy i siedzimy w obozie wszyscy.

- Z jakiego powodu Pan odmówił wyjazdu do pracy? Uważał Pan, że was rozwalą?

Nie. Po prostu, żeby się nie podporządkować. Taka zawziętość człowieka i więcej nic.

- Ale Pan był jedyny tak zawzięty?

Z Polaków tak.

- A spośród Ukraińców?

Nie, wśród Ukraińców nie było takich... Szli do roboty jak wół.

- Czy w tym obozie wykonywano wyroki śmierci?

Nie. Oficjalnie nikt nic nie wiedział. Może kogoś tam zamordowali, ale oficjalnie nie było żadnych... Słyszelibyśmy, wiedzielibyśmy...

Później w tym obozie zachorował taki Jurek Picheta, zapalenie płuc dostał. Ale już wprowadzili reżim - sami więźniowie - że nikt nie może dostawać pobocznej porcji: czy iść na kuchnię...

- To znaczy wy wprowadziliście to?

Przeważnie Ukraińcy, bo ich była większość. Nas tam było parę osób, może dziesięć osób.

- Wszyscy mieli dostawać po równo...

Tak. Bo wiedzieli, że uprzywilejowani są brygadziści albo jak kogoś kucharz się bał, to dawał jakieś odchiapy, coś musiał dać, jakąś drugą porcję...

I przychodzi Mattoszko i mówi, że Jurek ma zapalenie płuc, temperatura bardzo wysoka, leków żadnych nie ma. Na tym odżywianiu przekręci się chłopak. Ja mówię do Mattoszki:

- Ja pojdę na kuchnię, przyniosę.

- Nie, gdzie, zabiją cię!...

Tym bardziej, że wiedzieli, że miałem zatargi z tymi Ukraińcami. Myślę sobie: co będę... Wziąłem gar 5-litrowy, zachodzę na kuchnię, podaję temu kucharzowi i mówię:

- Nalewaj. Tylko dobrej daj, nie takich...

Nalał. Co miał na kuchni, to wszystko musiał mi dać. I nosiłem Jurkowi, i wyszedł z tego.

- A co Ukraińcy na to?

A nikt do mnie nie podchodził i nikt nic nie mówił.

Z tego obozu zabrali nas gdzieś po miesiącu z powrotem, już nie wagonami, a na piechotę. Podzą nas, ale gdzie idziemy? Znowu do Norwilska.

Wypędzili nas do kopalni nr 12. Niedaleko kopalni nr 1, tylko ta Pierwsza była w wąwozie, między Szmitychą a taką drugą górą, a ta Dwunasta była dalej, na tej górze. W tym obozie nie byli polityczni więźniowie, a recydywiści. Ci kławiszki nie mogli ich wylapać, bo tamci nie wiedzą, gdzie jada, więc nie chcą wychodzić, kryją się, uciekają. W każdym razie jakos ich wylapali. Musieli ich usunąć, żeby nas wprowadzić, do pustego obozu.

Wpuszczają nas, zachodzę do kuchni, kuchnia była niedaleko bramy - patrzę, a tam kobieta naga leży, zgwałcona. Ona mówiła, że nie wie, ilu ich ją gwałciło, pięćdziesięciu czy ilu, w każdym razie... Ona pracowała w kasie, bo im - to nie byli polityczni więźniowie - płacili za pracę i mogli sobie w obozie coś kupić. Oni w tym zamęcie, jak ich usuwali z obozu, wdarli się na tę stołówkę, do kasy, zabrali jej pieniądze, zabrali pieniądze z kasy, zgwałcili ją i poszli.

Parę dni spokoju, bo muszą zorganizować brygady. I potem przychodzi nie pamiętam kto i mówi:

- Słuchaj, Julek, ty robiłeś na kopalni, znasz kopalnię, a my porozrzucani po brygadach po jednym, po dwóch... Ty byś poszedł do nariadczika (a nariadczikiem był Lotarewicz, on przerycał z brygady do brygady, on był organizatorem brygad), żeby on nas wszystkich Polaków zebrał do jednej brygady, i ty byś razem z nami.

Na to poszedłem. Mówię, żeby wszystkich polonusów do

Jednej brygady, zgodził się. I poszliśmy do pracy. Faktycznie, dla mnie kopanie to było już nic. Oni pierwszy raz - gdzie? co? jak? tu nisko, to głową się uderzy... Mysię sobie: Rany boskie, jakiś się zabije i będę go potem miał na sumieniu...

- A Pan był brygadystą?

Nie, nie byłem brygadystą, tylko oni chcieli, żeby być razem. Ja byłem, Jakimowicz był, Zygmunt [Adamowicz], w sumie z szesciu albo siedmiu. Tam też spotkałem swojego kaprała, jeszcze z partyzantki, Bancewicza. Ja nawet nie wiedziałem, że on tam jest.

Po paru dniach, jak zobaczyłem, jaka jest sytuacja, nieśliśmy iść do roboty - zawiązałem tego Czesia Jakimowicza i mówię:

- Nie chodź do roboty, lepiej nam się tu przespać...

No i go namówiłem. Jeden dzień nie poszedł. Na drugi dzień się zbiera, ja go namawiam:

- Zostań, będzie weselej...

- Nie, ja pójdę, bo mnie zamkną...

Ja nie poszedłem trzy dni, to przyszedł kławisz i zabrał mnie do karcu. Siedzę, siedzę... Był tam taki Marian, on był na katordę sądzone, ale jego nazwiska nie pamiętam. W tym karcu wypuszczali na spacer. To było odgródzone od obozu płotem 3-metrowym, przez który nic nie było widać, ale z boku był kawałek drutu - nie na wolność, tylko na środek obozu. I my z tym Mariankiem umówiliśmy się, że nie idziemy. Każdy był zabiedzony tym karcem - nie idziemy na ten spacer.

Szarówka się zaczyna: walimy w drzwi, że nas dziś nie wypuszczili na spacer. Przychodzi kławisz:

- Coście chcieli?

- Dziś na spacerze nie byliśmy.
- No o tej godzinie?
- Ale my chcemy, bo dzisiaj nie byliśmy...

Otwiera cele:

- No to kto?

Ja wychodzę i Marian, a reszta leży. Na spacer zakładali kajdanki, ale założył nam pojedynczo: wziął moją rękę i jego rękę i nas ze sobą skui. I wypuścił, a sam stoi w drzwiach przy tym karcu. A my koło niego chodzimy w kołko jak w kieracie. Wiatr niesamowity, śnieg kurzy. Nie chciało mu się stać - wszedł do środka. Jak on wszedł, to ja podskoczyłem do tego kawałka drutu - drut żeby tylko wszedł do zamka od kajdanków, kajdankami pokręciłem i kajdanki pszyły, otworzyły się. Z mojej ręki spadło, u Mariana zostało! Mówię mu:

- Maniek, uciekamy na obóz?

- No coś ty?...

W tym drucie nie było napięcia, bo to drut wewnętrzny, na obóz: stanąłem, ręką chwyciłem, podciągnąłem, mówię:

- Wiaś...

Nie miał się kiedy zastanawiać, wiazi, potem on trzyma, ja w dziurę - i dyla... Uciekamy na obóz.

Wpadliśmy od razu na kuchnię - w karcu to głodni. Do kucharza:

- Co masz tu? Dawaj...

Co miał lepszego, to myszy zabrali: poszliśmy do baraku. A klawisz wychodzi z karcu - nie ma nas... Nie może zostawić karcu samego - tam ich dwóch siedzi - ale nie może zgłosić kierownictwu, że uciekliśmy, bo dostanie opeer, że nie pilnował. A jak nie zgłosi, to znówu nie wie, gdzie my jesteśmy, co my tam robimy...

W każdym razie myśmy przenocowali w baraku - baraki zamykają na noc - na drugi dzień Marian zgłosił się sam, zabrali go. Ja nie idę. Jak mnie złapią, to mnie zabiorą.

Chodziłem po tym ośrodku chyba ze cztery dni. A dany kławisz miał zawsze przydzielone ze 3-4 "swoje" baraki. On musiał tych ludzi policzyć wieczorem, zdać raport - i rano tak samo. Tylu w pracy, tylu w barakach. A temu kławiszowi z karcu brakuje jednego - bo przecież uciekłem i nie ma mnie. Do domu nie może iść, bo nie może zdać raportu - i tak trzy dni. To był taki stary kławisz, Żyd podobnie.

A ja siedzę w baraku, grają w karty i ja siedzę i gram. On wchodzi, a porządek w baraku trzyma dniewalny. I on wchodzi:

- Dniewalny! Wszyscy swoim ludzie?

- Wszyscy!

Bo się boi powiedzieć, że jeden obcy siedzi. A przecież z twarzy mnie ten kławisz nie zna. Pokrepi się i idzie. I znowu po tym całym obozie chodzi i szuka.

W końcu mi już samemu zbrzydło... Siedzę w tym swoim baraku, gdzie moja brygada, przychodzi ten kławisz:

- Dniewalny! Wszyscy swoi?

- Wszyscy.

Nie wiem, co on tam gadał, nie pamiętam, ale doszłam bardzo bluzgał - ja staję koło stołu:

- Grażdanin naczelnik, pan mnie szuka, a ja pana szukam, trzy dni nie mogę pana znaleźć! Gdzie pan był?

- A to ty?

- Ja...

A to taki łaskawy dla mnie:

- No chodź, idziemy, coś ty narobił, ja tyle dni w domu nie

byłem, śniadania nie jadłem ani kolacji ani obiadu...

Zaczyna mi marudzić, ja idę z nim, więźniowie mi dają, jak który miał machorkę, wiedza, że w karcu nie ma co palić, chleb dają... Sam jest głodny, ale jak do karcu, to daje... Nabrałem tego chleba.

Oh na ośrodku to grzeczny - jak mnie tylko zaprowadził za ten piot!, do tego karcu!... Zadzwonił, tamten dyżurny wyszedł, a ten do mnie z buzią:

- Ty taki owaki... Do pojedynki go posadzić, rozebrać do naga!...

Ja mówię:

- Idź ty Żydzie cholerny, będziesz...

A w karcu było dwóch wojskowych, żołnierzy, co pilnowali obozu. Jeden miał Sasza na imię, a drugi Tonik. Ten Tonik był gorszy, taki blondynek, a Sasza był bardzo równy chłopak. No, klawisz wpisał w tę księgę, że już mnie złapał, zabiera się i idzie. A ten Sasza pyta się mnie:

- Do której celi idziesz?

- No jak to do której? Przecież wiesz, w której celi byłem, tam moje rzeczy są... Do tej celi ogólnej.

A ten drugi uparł się - na tamtego rozkaz - żeby do pojedynki mnie dał. Rozebrać mnie do naga i tam mam siedzieć. I zaczęli między sobą się kłócić. Ale ten "mój" wygrał, silniejszy był, mówi tamtemu:

- Idź, bo zaraz cie trzasnę w mordę...

I posadził mnie tam, gdzie siedziałem.

Chleba naniósłem, machorkę mamy, skręta robimy. Ale zmiana przyszła, przyszli nowi i zobaczyli dym, że palą. Doo, skąd mają? I zaraz cela się otwiera - wychodzą wszyscy. W celi rewizja, nam też:

- Rozbierać się...

Potem wchodzimy do celi i któraś krzyczy:

- Ooo, zabrali nam tytoń, chleb zabrali, wszystko zabrali!...

No to jak oni nas na tym korytarzu porozbierali, to my się już nie ubieramy, tylko wchodzimy nago do celi, zaczynamy krzyczeć, walić w drzwi - zaraz wszyscy więźniowie w karcu zaczęli też walić, wszystkie cele - było ich może z dziesięć - krzyczą i walą! Jakby bomba atomowa uderzyła - krzyk i szum!

- Czego chcecie?

- Oddawajcie chleb i marchewkę.

I trzymaliśmy ich dotąd, dopóki nam nie oddali.

Później z którejś celi mówią, że nie ma co palić. Pukamy do drzwi, że parasza jest pełna i że bardzo smierdzi, żeby wynieść. On mówi, że jest sam na dyżurze, nie otworzy. W końcu przyszedł drugi i mówi, że dzisiaj nie pozwoli wynieść, a kto się chce załatwić, niech idzie. No to wychodzę, a już miałem z sobą tytoń. Wracając podszedłem do drzwi, "judasza" pochyliłem i temu, co wolał wrzuciłem ten tytoń. Ten klawisz:
- Ooo, raport napisze... Wróciłem do celi i co mi strzeliło do głowy - między korytarzem a celą nie ma progu, tylko szpara - przewróciłem tę paraszę pełną na podłogę, to wszystko się wylało, poleciało pod prycze, na korytarz... Myszy głowy pozawijały watówkami od tego smrodu i leżymy. Ale teraz oni na dyżurce nie mogą wytrzymać, bo smród!... I znowu zarobiłem dwa następne miesiące karcu.

Siedzę. I na ten obóz mnie już nie wypuścili. Któregoś dnia przychodzi klawisz:

- Zabieraj rzeczy.

Prowadzą mnie z karcu za plot, jeszcze jednego Rosjanina,

i biorą nas dwóch na samochód, wiozą. Przywiezli nas do tego obozu nr 25, tam, gdzie byli katorżanie. Ale po tym buncie ich rozpedzili po różnych obozach i ich już wiedzy nie było, a do tego obozu, tam było 350-400 osób - parę osób może było takich innych, a reszta: zebrałi wszystkich kapusiów. Bo te kapusie zaczęli się bać, że jak oni odsortowali tych ludzi, którzy brali jakiś czynny udział w buncie, że ktoś będzie się na nich mścił. Bali się o swoją skórę. Więc ich wszystkich zabrali tam, do tego obozu. Z tym, że im wydali już przepustki: wychodził bez konwoju do pracy, pracował i miał oznaczone, że na godzinę np. ósmą ma być z powrotem w obozie. Taki pół-cywil, pół-więzien.

- Po czym poznał Pan, że to są donosiciele?

Przecież myśmy prawie wszyscy wiedzieli, kto jest kapusiem. A jak się zobaczyło tam jednego, drugiego, trzeciego...

- Z Polaków też tam jacyś byli?

Trzech tam było Polaków, tych z kuchni. Bronek i Romek podobnież nie byli kapusiami, jakimś cudem oni się tam dostali, ale ten trzeci z kuchni, on był szefem, to był kapusiem, stukaczem. A jakiś Ukrainiec był w tym obozie carem i bogiem. Pamiętam jego nazwisko, Karpionko.

Jak nas przywiezli, to przywożą nasze papiery. Bo oskarżenie i akta sprawy "chodzą" razem z więźniem - jedne leżą w archiwum, a drugie idą tam, gdzie więzien. I jak ci więźniowie zobaczyli, że nas przywiezli - zaraz bunt zrobili. Oni nie chcą, żebyśmy tam byli.

- Przyjechał - mówią - ten (to znaczy ja) ma mały wyrok, ale ma kolegę, który ma 25 lat wyroku, a on nas wszystkich zna, i da tamtemu rozkaz i tamten będzie wykonywał wyroki na nas...

I nie weźmą nas do obozu. Kapusie się zbuntowali. Nas dwóch tylko było: ja i ten Koika, żona go zna. On miał 25 lat wyroku, i na samochodzie stoimy. Mroz niesamowity. Przemarzlismy do kości, stalismy chyba z 8 godzin.

Dzwonią z tego obozu do tego obozu, skąd nas przywieźli. Ci też już nas nie chcą. I co zrobisz teraz? Rozwalić nas nie mogą, bo nie ma takiego zarządzenia. Gdzieś trzeba wpakować. W końcu jakos się zgodzili.

Wprowadzają nas do celi, a ten Ukraińiec Karpionko dobrze mnie znał z widzenia i ja go też znałem. Zawsze mierzyliśmy się jeden drugiego, jaki ma jaki wzrost... Zostawił nas. Na drugi dzień Mikołaj mówi, że on jest wypożycz, szewc. Na to go dali, żeby buty reperował. Ja spawacz, ale tam nie ma miejsca dla takiego zawodu - a była tam jedna brygada karna, dla tych, co nie wrocili do obozu na czas albo coś przeskrobali - no to do tej karnej brygady mnie dali.

Ta brygada pracowała koło tej fabryki nr 25. Nie w samej fabryce.

- A Pan w samej tej fabryce oni razu się nie znalazł?

Nie, nie byłem tam.

Tam było torowisko wąskotorówki i oni tam kilofami kuli coś takiego jak maź: brązowa, miejscami jaśniejsza, a pod spodem ciemna, z przeswitami jasnymi. Jak plastelina to było, tylko zmarzniete na kosc i ta karna brygada kula to.

- Może glina?

Nie, nie glina. To szło właśnie do tej fabryki. Nazywali to kieł, ale co to znaczy, do dziś dnia nie wiem.

- A nie było plotek, że to ruda uranowa?

Mówili, że to fabryka wojskowa. I oni to kuli i teczkami wozili gdzieś w pobliże, ktoś tam to od nich odbierał.

Brygada poszła kuć, a ja odbilem w drugą stronę. Przy tej fabryce była przybudówka, jakby biuro budowało się. Zachodzę tam, wchodzę na piętro, nikogo nie ma, ciepłutko, fajnie. Drzwi były zamknięte na klucz, ale u góry była szybka - tę szybkę wybiłem, podstawiłem beczkę, wlałem do środka, ułożyłem się koło grzejnika i leżałem 12 godzin. Brygadziasta nazywał się Lebediew, chłop ponad 2 metry, szeroki w barach. Nic mi nie mówił.

Tam może byłem z miesiąc. Tam już płacili parę groszy, do 30 rubli najwyższej można było zarobić. Był kiosk, stołówka nie ogólna, za pieniądze można było coś kupić. Przychodzi w końcu ten cały dowódca, Karpionko, który nie chciał nas przyjąć, i mówi do mnie, czy bym nie chciał w kuchni w piecu palić. Ja miałem już z rok do wolności i mówię:

- Mogę iść.

Pokazał mi tę *kaceharkę*. Jak ja już jestem pracownikiem tej kuchni, to mogę się tam bezpłatnie stołować. Ale w tej kotłowni jestem dzień i noc. Były dwa paleniska tam i jak trzeba było, to mieli mi tam krzyczeć: podrzuc do jednego albo do drugiego.

Dobrze tam: ciepło. W nocy w kuchni zawsze był taki Władzio, on był kucharzem i szykował śniadania. A Romek i ten trzeci byli w dzień. Ten trzeci to zdaje się Wittek miał na imię, teraz mi się przypomniało. I jeden Rosjanin, czterech ich było razem.

A wydawanie tych posiłków odbywało się tak, jak kiedyś w Polsce były bilety tramwajowe: taka tasienka z papieru, stemplowane odcinki i numerki taki i taki dzisiaj to jest przykładowo zrazik mielony. Na inny numerek będzie zupa. Była kasa, w kasie kupowało się te numerki, dawało się kucharzowi

numerek, a on wydawał posiłek. Kucharz miał deskę, na tej desce ostry drucik i tam te talony nabijał.

Ja tam spotkałem - nazywał się Felek Lenontowicz. Znałem go jeszcze z Lidy, bo on miał karę śmierci przetem. Był w oddziale Ragnera, od Ragnera wszyscy dostawali karę śmierci. Nie wiem, czy on wrócił do Poleki. Miał już mały wyrok, parę miesięcy do końca, więc go dali do tych szpicli.

No i głodny chodzi. Ale jak ja mu pomogę? Myślałem, myślałem - idę wieczorem do kuchni, ten Władek mięso myje, a bloczki na oknie stoją. I biorę - te, które nie mają dziurki. Bo jak dwa od razu nabijał, to jeden ma dziurkę, a drugi nie. I te bez dziurek odrywam. Numery te same, tylko mogą się zmienić - że dziś był zrazik, a jutro może być gulasz.

Podrzuciłem węgla i poleciałem do Felka i jeszcze miałem paru chłopaków: tego Mikołaja, co nas razem przywiezli, i te bloczki im dawałem. A oni na drugi dzień brali na te bloczki posiłek.

I teraz w kasie nie zgadza się: sprzeda 10 bloczek, a wydali 15 posiłków. Nie mogli się zorientować, skąd to się bierze.

I kiedyś Witek, ten cały szef kuchni - nie wiem, czy kapnął się, czy co, to był stary facet - wolał mnie do siebie. A ja parę razy i mięso bachnąłem temu Władowi... A obok był kiosk, gdzie można było kupić dżem, masło, papierosy, i tam siedział więzień, też szpicel, podobno z katorżników. Stoiśmy za drzwiami i ten Witek ma do mnie pretensje, ochrzania mnie: - Co? Złe ci tu jest? Jedzenie masz, ciepło masz, nie płacisz, został ci rok...

A jak się okazało, ten szpicel ze sklepiku stał za drzwiami, drzwi uchylone były i wszystko słyszał. Ja nie

zdażyłem wrócić do kotłowni - przychodzi kłewisz, zabiera mnie i prowadzi do karcu.

Siedzę chyba miesiąc, wzywa mnie oficer od spraw politycznych, który kapusiów wazystkich werbuje, i mówi: co on ze mną ma zrobic? Bo do niego grupowo więźniowie przychodzą, że oni nie będą do pracy chodzić, że boją się na osrodku, bo się boją mnie. Uwagę mi zwrócił i zabrali mnie z powrotem do karcu.

W karcu sam siedzę, bo przecież z tych kapusiów nikt nic nie przeskrobie, do karcu ich nie wsadzali, bo przecież to ich ludzie. I po pewnym czasie przywieźli z innych obozow Ukrainców. Tych widocznie podejrzanych, co wykonują wyroki. Bo oni haratali - i swoich, i Ruskich, i innych: szpicel, to już go skrócili d głowę.

- Skąd przywieźli tych Ukrainców?

Z jakichś innych obozow, ja nawet nie wiem skąd. Słyszałem tylko, jak oni ze sobą zaczęli rozmawiać, że tego, tamtego [zalatwilil]... Zawsze mieli jakies swoje grypsy - do [przekazania], w każdym razie oni między sobą się porozumiewali. A żeby prowadzić sprawy, to musieli ich od siebie odizolować - i dlatego przywieźli ich tu na badanie. Bo jakies tam śledztwo prowadzili.

I pewnego razu - zimno jak diabli w tej celi - kocem się przykryłem i chodzę. Pukam do tych drzwi i mówię, że jest bardzo zimno, czy by nie napalili w piecu. A on mówi:

- Siedz. Szkoda, że jeszcze nie zdechłeś, bo taki typ powinien dawno zdechnąć!...

To ja mu zacząłem ubliżać, rożnymi słowami - bo co mi zrobi? On mi ubliża, a ja jemu. On w końcu podchodzi, a w tym judaszu nie było szkiełka, tylko od strony korytarza jest

blaszka, która się odchyła, jak klawisz chce zejść. Patrząc - odchylił te blaszki, widzę jego oko - jak mu charchnę, jak dostał, w oko mu naplułem... Zabrał się i poszedł.

Na drugi dzień 2 miesiące karcu mi się skończyło (nie wolno było więcej karcu dawać), mam wychodzić - wzywają mnie na dyżurkę, i dostałem następne 2 miesiące.

4 czy 5 miesięcy postędziałem w tym karcu - zabierają mnie z odwoła mnie z powrotem - tam, gdzie byłem zaraz po przyjeździe do Norylska, do obozu nr 6.

- czy ten obóz zachował cały swój numer?

Tak. Tam było już bardzo mało więźniów, ale byli już tylko polityczni. Tam byli przeważnie katorżanie, którzy poprzednio byli w obozie nr 25.

Przywieźli mnie z tego mojego kumpla Nikołaja. Ale tu już sprzeczniwu nie było. On z powrotem poszedł pracować jako szewc, a mnie zrobili elektrykiem. Dali mi haki do chodzenia na słupy, po rosyjsku słupokoży. Dookoła obozu słupy, żarówki, żeby ten na "kurniku" wszystko widział. Żarówka się spali, trzeba wymienić...

I znowu takim gospodarzem tego obozu był katorżanin Wołodia. I nie wiem skąd dlaczego - on mnie unikał. Ktoś mi przekazał, że "on się ciebie boi". Kiedyś idę i on też idzie. No to:

- Zdarow.

- Zdarow.

Gadamy, i ja widzę że on taki stremowany...

- Czego ty się mnie boisz? Przecież mi został niecały rok do wolności, ty mi człowieku nic nie zrobiłeś, nie znam ciebie... Wiesz co? Żebyś ty miał spokój i ja, to ty mi pisz dzień za trzy i ja wyjdę z obozu, a ty będziesz miał spokój.

I on się zgodził. Przechodzi miesiąc - a ja już mam zaliczony dzień za trzy, w następny miesiąc tak samo - i dlatego ja wyszedłem w październiku 1954 roku, a nie w styczniu 1955.

Dwóch klawiszy zaprowadziło mnie do URU, do archiwum. Papiery się zgadzały - i wyszedłem na wolność. Zrobili mi zdjęcie i wkleili. A tam pisało, że "był sądzony po takim i takim artykule, podlega na zesłaniu dożywociu". Nie dają pracy, pieniędzy, mieszkania - idź sobie gdzie chcesz.

Spotkałem kolegę z obozu, to był Ormianin czy Azerbejdżanin, on wyszedł wcześniej na wolność i miał taką stemiankę. Tunelami się wchodziło, żeby trafić. On mnie przygarnął do siebie.

Kiedy wyszedłem na wolność, wyszła też taka Jadzia Rabkowska. Pracowała w szkole jako sprzątaczką. Powiedzieli jej, że ona nie może być w Norylsku, tylko musi wyjechać w rejon Igarki czy jakiś inny. A ona nie chciała. I dziewczynę powiesiła się.

Zrobiliśmy jej krzyż oczywiście, cmentarz był koło tego Miedstroju, huty miedzi. I zanieśliśmy ją tam, a to daleko, chyba 7 kilometrów, ramię mnie bolało chyba przez parę miesięcy. I tam ją pochowaliśmy.

Jeszcze do pracy nie chodziłem - przychodzi Bolek Dubowicz:

- Julek - mówi - przyjechała Polka, do Zabrodzkiego.

A ja brata żony praktycznie nie znam, bo on zdaje się w obozie nr 5.

- Wiesz co? - mówi Bolek - fajna młoda dziewczyna...

Im większy terror, tym niehawiść się wymaga. I każdy Polak

chciał mieć - ja byłem bardzo młody, bo jak mnie sądzili, to miałem 17 lat, a inni mieli po 20-30 lat - i nie było mowy, że mamy wrócić do kraju, bo każdy musiał podpisać to zesłanie. I każdy chciał się ożenić, ale z Polką. A skąd je brać? Tam było trochę Polek, ale 10-15..

I mówido mnie:

- Jutro cie zaprowadzę, pokażę ci, jaka fajna dziewczyna.

Następnego dnia była niedziela, rano przychodzi do mnie:

- Chodź, jedziemy.

Wychodzimy z tej nory, z tych ziemianek - a tam jeden dach, a chyba że 100 kominów, bo każda ziemianka miała swój komin, jakiś piecyk żelazny - i jedziemy. Patrzymy - faktycznie fajna dziewczyna, miała 22 lata...

Później znowu kłopoty: zobaczyli, że zaczynam podchodzić, a tu zaczęli i jej, i jej bratu mówić:

- Aaaa, on był taki, a był niegrzeczny...

I brat jej zaczął okoniem stawać, żeby nie chodziła ze mną. Ale jakos przebrnąliśmy przez to wszystko i wzięliśmy tam cywilny ślub. Na opłatę nie mieliśmy, musieliśmy potyczyc te 15 rubli...

- Czy Pan znał takiego człowieka Romuald Burba?

Znam, ale nie wiem, gdzie on mieszka. On w obozie nr 4 był, zdaje się tynkarzem był czy malarzem. Starszy człowiek.

- czy on był jednym z aktywniejszych podczas buntu?

Nie wiem. Tam aktywnych było bardzo mało.

Takiego tam kolegę miałem - Siudak Jasiu. Ale on chyba tam został. Był Antos Kaczan, chyba był w obozie nr 5, bo na Czwartym go nie było.

Kiedyś przychodzi z pracy do domu - a ja pracowałem od piątej po południu do pierwszej w nocy - i żona mówi, że

Jasiu Siudak był. Ale mi nic nie powiedziała. Dopiero po jakimś czasie powiedziała mi, że proponował jej, żeby z nim uciekała do centrum Rosji. I ja myślę: o ty swintuchu... Przyszedł mi żonę zwerbować, żeby z nim uciekała.

Żona miała dowód, a ja musiałem podpisać dożywotnią zsyłkę, nie wolno mi było opuścić tego Norylska.

Musiałem coś zbudować, inaczej nie było żadnych szans przeżycia. No to zorganizowałem: jeden z Polaków pracował w magazynie przy deskach, no to deski, drugi przychodził po robocie... Kto co mógł dawał - materiały służyły do pracy...

W każdym razie postawiliśmy taką chatę. Żona potem tylko szykowała kolację, wódka na stół...

- Kiedy Pan wrócił do Polski?

Wróciłem na Nowy Rok z 1955 na 56 rok. Dzień czy dwa przed Sylwestrem.

spisał Tomasz Gieb

* * *

P. Julian Nowogródzki nie posiada informacji na temat:

- "fabryki makaronu"
- Sikorskiego
- obozowego procesu Jozefa Dąbrowskiego
- obozowego procesu księdza Gładysiewicza
- miejsca zwanego "Kopiec"

* * *